Nr. 20. We Lwowie dnia 14. maja 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

WOJCIECH SZUKIEWICZ.

Kilka dni w Chorwacji.

III.

Całą noc tłukłem się pociągiem do Zagrzebia. Szczęściem wczesny świt pozwolił mi rozglądać się po okolicy, złożonej z bardzo starannie uprawnych pól, młodych lasów i długich, daleko rozciągających się wsi, utworzonych przez jeden prawie szereg małych, drewnianych domków. Pod samem miastem przejeżdża się most na Sawie, poczem jesteśmy w stolicy Chorwacji. Mała to, zaledwie 45.000 mieszkańców licząca mieścina, ale nadzwyczaj schludna, czysta, starannie utrzymana i robiąca wskutek tego bardzo miłe wrażenie. Powietrze nie ma w sobie nic miejskiego, dusznego, cuchnącego, lecz nic w tem dziwnego, bo nie tylko ulice powysadzane są drzewami, ale całe prawie miasto leży na stoku lesistych wzgórzy, tworzących dość długie pasmo. Zostawiwszy rzeczy w hotelu, poszedłem na spacer i natknąłem się odrazu na piękny pomnik bana Jelaczicza, siedzącego na koniu. Na uwagę zasługuje drugi jeszcze posąg, przedstawiający św. Jerzego, zabijającego smoka. Grupa ta zdobi skwer przed gmachem południowo-słowiańskiej akademji, w której znajduje się też muzeum. Całe drugie piętro zajmuje galerja obrazów, zebrana i ofiarowana oczywista przez ks. biskupa Strossmajera. W pośród malarzy współczesnych znalazłem maleńki obrazek Siemiradzkiego i śmierć Przemysława II. Matejki. Potem odszukałem poleconego mi przez p. Grabowskiego bibljotekarza uniwersytetu p. Kostrenczica, ale niestety pilna robota nie pozwoliła mu zająć się mną i ułatwić mi pobytu w Zagrzebiu. Natychmiast więc porobiłem znajomości z rozmaitymi chorwackimi braćmi po piórze, a to tem bardziej, że miałem ważny interes do redakcji narodowych pism zagrzebskich. Złożyłem tedy wizytę redakcji »Obzora«, »Hrvatskej« i »Agramer Tagblatt«, którego redaktor p. Simun Vinko Frank okazał się skłonnym do obszerniejszej dyskusji na temat kwestji słowiańskiej.

Twierdził on, że obecnie w Europie istnieje właściwie jeden tylko potężny konflikt między światem pangiermańskim a pansłowiańskim. Przedstawicielem pierwszego jest cesarstwo niemieckie a drugiego Rosja, której samo istnienie zmusza Niemców do względniejszego traktowania mniejszych i słabszych narodów słowiańskich. Kroaci, nieliczni i nisko pod względem cywilizacyjnym stojący, szukają w Rosji morainego sprzymierzeńca. Ponieważ literatura chorwacka słabo jest rozwinięta, a wpływ niemczyzny i włoszczyzny ogromny, przeto też narodowcy chorwaccy uczą się języka rosyjskiego i przyswajają sobie rosyjską literaturę. W pracy tej znajdują pomoc, bo rok rocznie przyjeżdża kilku uczonych lub literatów rosyjskich do Zagrzebia i bawi dłuższy czas.

Rozumie się, że są to według p. Franka sympatje czysto literackie, cywilizacyjne, bo związku politycznego nie ma żadnego. P. Frank przypuszcza, iż Rosja w danym razie byłaby nawet zdolna poświęcić Chorwatów na rzecz Madjarów, którzy mogą być pożyteczniejsi w walce z żywiołem giermańskim. Ponieważ p. Frank przyznał, że Rosja bądź co bądź jest Azją, a Chorwaci Europą, więc i te nawet sympatje zmniejszyłyby się, albo zniknęłyby zupełnie, gdyby nagle zmieniła się sytuacja polityczna, gdyby n. p. rozwiązało się trojprzymierze, jedy-

nie przeciwko Słowianom skierowane. Pan Frank twierdził, że wówczas nietylko Chorwaci ale nawet i Czesi dzisiejsi byliby gorliwszymi obrońcami naszymi wobec Rosji. Narodowe stronnictwo chorwackie chętnieby widziało (według p. Franka) radykalne stronnictwo polskie, dążące wprost do odbudowania Polski. Mowa tu oczywista o stronnictwie, któreby miało swoją prasę, swoją reprezentację, organizację itd.

Bylibyśmy sobie zapewne wiele jeszcze na ten niewyczerpany temat powiedzieli, gdyby nie to, że musiałem jeszcze iść dalej, że chciałem to wszystko spisać przy świeżej pamięci, a wieczorem pójść do teatru na »Fausta . Trzeba bowiem wiedzieć, że 45.000 m. liczący Zagrzeb ma obok uniwersytetu, akademji, różnych muzeów, także teatr narodowy i operę włoską. Oczywista nie mogłem się oprzeć pokusie pójścia i zobaczenia narodowej sceny braci Chorwatów. Muszę wyznać, że idąc do teatru, spodziewałem się parodji opery, a nie »Fausta«, tymczasem po wyjściu innego byłem zdania. Wprawdzie stary budynek i wystawa wiele pozostawiają do życzenia, ale za to wykonanie było zupełnie poprawne, a tenor mógłby z równem powodzeniem śpiewać w Pradze albo we Lwowie, dokąd możnaby sprowadzić dobrze wyćwiczone i wyborne operowe chóry zagrzebskie. Mówiono mi zaś, że »Faust« był jeszcze słabiej przedstawiony, niż inne opery. Spędziwszy za bardzo tanie pieniądze przyjemnie cały wieczór, pomyślałem sobie, jak nisko pod tym względem stoi siedmdziesięciotysięczny Kraków, ktory ma pretensje do muzykalności, potrzeb artystycznych, dobrego smaku itd. Dla mnie istnienie opery w Zagrzebiu jest co prawda tajemnicą, ale co potrafią Chorwaci, to i mybyśmy potrafić powinni. Może nowa dyrekcja krakowska pomyśli o kilkumiesięcznym sezonie operowym.

Pod dobrem wrażeniem opuściłem tedy Zagrzeb i ruszyłem dalej na południe ku Bośni i Herzegowinie.

Rok 1848 w Krakowskiem i w Galicji

przez

Bolesława Limanowskiego.

V.

Ryterówna Matylda gorąco przemawiała w tym duchu do »Polek starozakonnych«. Żydowskie stowarzyszenie postępowe czytelni w Tyśmienicy w liście, pisanym po niemiecku do Smolki w dniu 27. sierpnia, wskazywało samo środki, którymi można osiągnąć spolszczenie ludności półmiljonowej wyznania starozakonnego. »Przez tworzenie żydowskich kolonij rolniczych — pisało ono — i przyzwyczajenie Żydów do posiadania ziemi, przez zupełne wydobycie ich z kału kupiectwa i nikczemnej oszukańczej spekulacji, które wypaczają rozwój umysłu i tłumią wszelkie uczucia, nareszcie przez zakładanie szkół w każdej, choćby najmniejszej gminie, w którychby uczono polskiego języka i zaprowadzono jako środki ogólnego kształcenia: naukę rachunków, historji i geografji, można osiągnąć cel zlania się. Żydzi krakowscy wydali w dniu 3. maja odezwę do współwyznawców w W. Księstwie Poznańskiem, skłaniając ich do oświadczenia się za wspólnością z Polakami.

Łatwiej było biurokracji austrjackiej siać nieufność ku instytucjom polskim pomiędzy włościanami, których długowiekowa niewola oczywiście musiała natchnąć straszną podejrzliwością. Podburzała ona lud wiejski przeciwko polskim radom obwodowym i przeciwko gwardji narodowej. Przy układaniu przedstawicielstwa, starała się włościanom dać przewagę, z pokrzywdzeniem miast i inteligencji. Tarnów, pomimo że po Lwowie był największem miastem, został z powodu swego usposobienia rewolucyjnego pozbawiony samodzielnej reprezentacji, i dopiero sejm wiedeński 21. października przyznał mu prawo wysyłania własnego przedstawiciela. Podczas wyborów do rejchstagu wiedeńskiego, które odbywały się w miesiącu czerwcu, naczelnicy obwodowi (Kreishauptmani) utrudniali wybór inteligencji polskiej, szczególnie adwokatów, a natomiast popierali włościan, bogatą szlachtę i księży. I ze wszystkich prowincji austrjackich, Galicja wysłała najwięcej chłopów, szlachty i duchowieństwa. Włościan z Galicji i Bukowiny razem było 38; z dziewięciu hrabiów w sejmie, było 6 ciu polskich, a siódmy Stadion był także wybrany przez włościan galicyjskich; szlachty polskiej było 36; dwóch biskupów (Wierzchlejski i Jachimowicz), 13 księży i dwóch rabinów, jedynych na cały sejm. Pomimo tego balastu po większej części reprezentacja galicyjska, dzięki demokratom polskim, zyskała uznanie na sejmie wiedeńskim.

Przy wyborze włościan, biurokracja popierała, jak to było w obwodzie tarnowskim, tych, co dali się smutnie poznać w 1846 r. Gubernjum lwowskie przywłaszczyło było sobie nawet prawo sprawdzenia wyborczych mandatów, ale sejm wiedeński zaprotestował przeciwko temu. Z wybitniejszych posłów galicyjskich wymienimy: Franciszka Smolke, Leszka Dunina Borkowskiego, Florjana Ziemiałkowskiego, Bogusława Longchampsa, Seweryna Smarzewskiego, Karola Hubickiego, Henryka Janke, Jana Fedorowicza, W. Zbyszewskiego, Michała Popiela, Karola Langiego, Adama Potockiego, Jana Tarnowskiego, Stanisława Pawlikowskiego — górala, Aleksandra Dzieduszyckiego itd. Szczególne uznanie w sejmie zyskał Smolka, który został 13. września wybrany wiceprezesem, a 12. października prezydentem.

Nie obeszło się bez usiłowań podstępnych i w sprawie samej ustawy wyborczej. Ogłoszona w dniu 9. maja ustanawiała dwie izby (senat i izbę deputowanych), pośrednie wybory i cenzus. Na 383 członków izby deputowanych, Galicja miała wysyłać — 96 (razem z Bukowiną — 108), krakowski obwód — 4, Szląsk — 10.

Ustawa ta wywołała w Wiedniu silne niezadowolenie, które się objawiło wielką manifestacją w dniu 15. maja, skutkiem czego ministrowie zawiesili powyższą ustawę i obiecali zwołać ustawodawcze zgromadzenie, wybrane przez powszechne głosowanie i złożone z jednej izby. Pomimo to, Stadion rozpisał wybory do sejmu powszechnego w Wiedniu, na podstawie owej zawieszonej ustawy. Przeciwko temu jednak Rada Narodowa zaprotestowała w dniu 25. maja.

Rada Narodowa nie tylko czuwała nad tem, ażeby władze austrjackie nie wykraczały przeciwko zasadom konstytucyjnym, ale zachęcała i czynnie popierała wszystkie usiłowania, mające na celu rozwój życia konstytucyjnego i właściwych mu instytucji. Zachęcała więc do zawiązywania stowarzyszeń, sądów pokoju i polubownych, do zakładania czytelni i kasyna powszechnego, układała protesty i zbierała podpisy, urządzała obchody narodowe itd. Przewodniczyli najczęściej: Piotr Wasilewski, Aleksander Batowski i Stanisław Pilat. Jako sekretarz podpisywał najczęściej Apolinary Stokowski, który wydoskonalił się w tym zawodzie, prowadząc wzorowe protokoły w zorganizowanej w Spielbergu pomiędzy więźniami rzeczypospolitej.

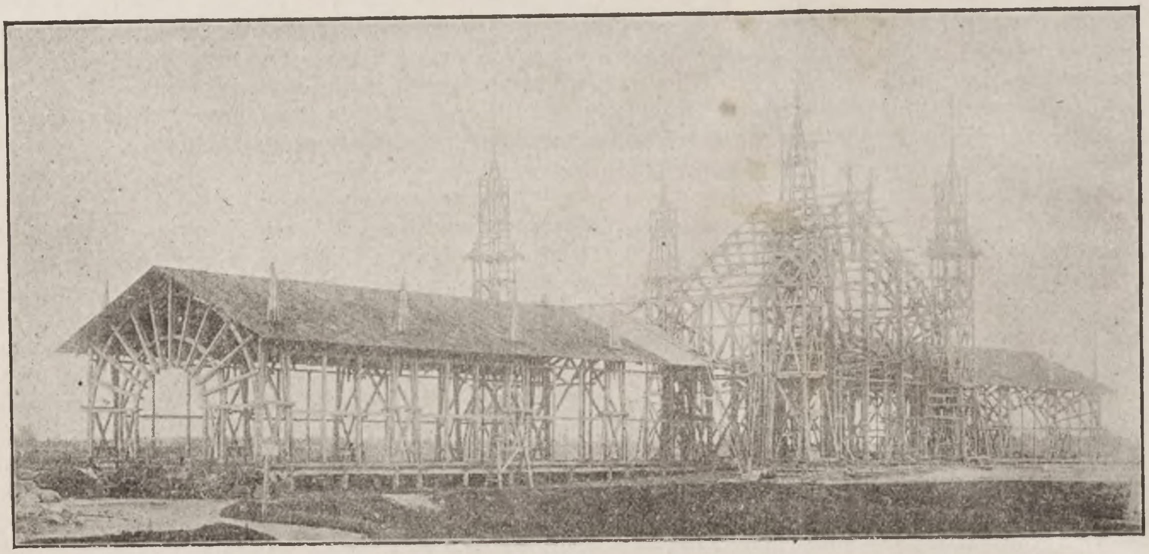
Rada Narodowa wysłała deputację na Zbor słowiański w Pradze, a w Wiedniu upełnomocniła Smolkę, Heferna i Borkowskiego, ażeby dopilnowali rychlejszego spełnienia życzeń, objawionych w kwietniowej petycji i innych memorjałach.

Z licznych stowarzyszeń, które zawiązano w Galicji, wymienimy ważniejsze. »Towarzystwo Braci« albo »Towarzystwo Bratnie« zostało zawiązane 19. maja. Miało ono na celu jednanie wszystkich mieszkańców kraju, oraz szerzenie uczuć obywatelskich i bratnich. »Towarzystwo przyjaciół prawa«, zawiązane 8. czerwca, postawiło sobie za zadanie: badać potrzeby i siły narodu, wskazywać pożyteczne zmiany, obmyślać nowe instytucje i podawać środki do ich wprowadzenia: »wyjaśniać zasady ekonomji społecznej z zastosowaniem do naszych potrzeb«; »rozpoznawać politykę zewnętrzną kraju i wykazywać jaka jej dążność być powinna« Na ustawach tego towarzystwa podpisali się Adam Cybulski, zastępca prezesa i Walery Waygart jako sekretarz. Rozwijało ono znaczną czynność przy wyborach do parlamentu wiedeńskiego i przy formowaniu we wrześniu przedstawicielstwa miejskiego we Lwowie. »Przygotowawcze Towarzystwo naukowej pomocy dla ludu« miało sporo członków pomiędzy księżmi, właścicielami dóbr, oficjalistami prywatnymi i nauczycielami wiejskimi. Rzemieślnicy zorganizowali 20. czerwca: »Towarzystwo obywateli wszystkich rzemiosł i rękodzieł«. W tymże czasie, 26. czerwca, powstało »Towarzystwo urzędników prywatnych«, które przetrwało najgorsze czasy i stało się następnie jednem z najważniejszych stowarzyszeń galicyjskich.

Zawiązany w pierwszych dniach kwietnia komitet dam ku wsparciu więźniów i młodzieży akademickiej, w którym przewodniczyła Ewelina Żebrowska, w lipcu przeistoczył się w »Towarzystwo dam, zawiązane w celu niesienia pomocy rodakom z tułactwa wróconym i niezamożnej młodzieży akademickiej«. Z ruskich instytucji, zasługujących na uwagę, powstała w tym czasie »Halicka ruska Matica«.

W lipcu organizowano sądy pokoju i polubowne. Rada obwodowa ziemi Sanockiej, w odezwie, podpisanej przez Kazimierza Horodyńskiego, jako prezydującego z kolei, Zygmunta Kaczkowskiego i Jakóba Wiktora, sekretarza, uzasadniła ważne znaczenie tych instytucji. Wykazała ona, że sądy, zwane krajowymi, lecz przez niekrajowców ustanowione i sprawowane, »o ile zasadom absolutyzmu odpowiednie i z nich wyłonione, nie były i nie są ani do potrzeb kraju i mieszkańców zastosowane, ani z postępem ducha czasu i ulepszeń w krajach innych w tym względzie poczynionych, zgodne«. Rada więc wzywała »właścicieli dóbr ziemskich, dzierżawców, mieszczan, włościan i w ogóle wszystkich w obwodzie zamieszkałych, aby każdy z nich 15 imion zacnych i w sprawach biegłych mężów, w obwodzie zamieszkałych, tudzież 6 kandydatów na Sędziów pokoju« wybrał i spisane nazwiska nadesłał; a następnie Rada miała ogłosić tych, coby największą liczbę głosów otrzymali.

Rada Sanocka w tym swoim okólniku charakteryzowała ówczesne czasy jako przechód »od najwyższego absolutyzmu do oczekiwanej przez obudzony naród wolności«, jako okres »zaciętej

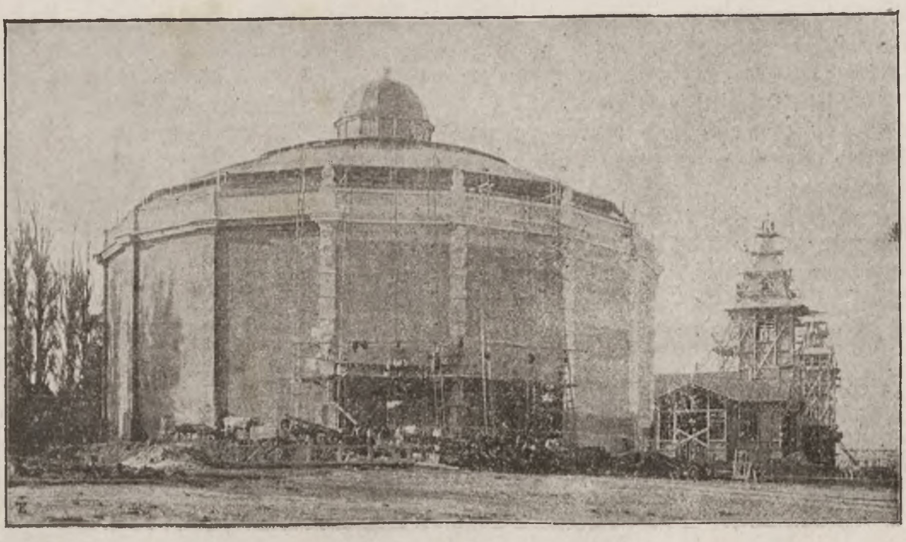


Pawilon rolnictwa.

walki dwóch żywiołów, walki reakcji i narodowości«. Charakterystyka ta była prawdziwa. Widzieliśmy, jak biurokracja galicyjska sprzymierzyła się ze wstecznem ziemiaństwem i z jurokracją, ażeby utrudniać i wstrzymywać rozwój życia konstytucyjnego. Złorzeczyła ona ministrom wiedeńskim, którzy w jej mniemaniu byli zanadto liberalni i rewolucyjni, a sprzyjała całem sercem tej kamaryli, która uprowadziła cesarza z Wiednia do Innspruku. Ucieszyła się więc była, kiedy do stolicy tyrolskiej powołano Stadiona, ażeby zasięgnąć jego rady i oddać mu ster rządów ministerjalnych. Stadion jednak trzeźwiej patrzał na rzeczy i nie mógł z reakcyjną kamarylą dójść do porozumienia.

Smolka pisał 11. czerwca do żony: »Stadion względem Galicji takie miał objawić zdanie (nie ręczę za prawdę), że w Galicji półśrodkami radzić nie można, lecz trzeba albo zaprowadzić rząd terorystyczny, na co 100.000 wojska trzeba, albo zaprowadzić reorganizowany narodowy, w sposób węgierskiego do monarchji austrjackiej stosunku; miał doradzać przyjęcie drugiego systemu, co zaś w sprzeczności zostaje z oddaniem rządów w ręce Hammersteina«. Po wyjeździe bowiem Stadiona, naczelne rządy objął komenderujący wojskiem, jenerał Hammerstein, ale istotne rządy cywilne sprawował Agenor Gołuchowski. Obaj oni chętnieby się zgodzili na zaprowadzenie rządu terorystycznego, lecz w Wiedniu chwilowo przeważał prąd liberalny. Cesarz 20. czerwca mianował swoim zastępcą arcyksięcia Jana, mającego popularność u ludności wiedeńskiej. W lipcu sformowało się nowe ministerstwo, a na czele jego stanął minister, znany powszechnie ze swej uczciwości, Antoni baron Doblhoff-Dier, który z większą sumiennością od Pillersdorfa przestrzegał, aby władze zastosowywały się do zasad konstytucyjnych i nie dopuszczały się czynów dowolnych. Pomimo to władze wojskowe, ośmielone postępowaniem Windischgraetza w Pradze, coraz zuchwalej występowały. Komenda wojskowa w Krakowie zamierzała już była uwięzionych emigrantów wydać Moskwie, i stanowczy tylko rozkaz ministra wstrzymał ją od tego kroku. Hammerstein rozporządzeniem niekonstytucyjnem co do rekrutacji wywołał był we Lwowie wzburzenie, a rozkazem 26. lipca wzbronił manifestacji, którą przygotowywano na uczczenie męczeńskiej śmierci Teofila Wiśniowskiego i Kapuścińskiego.

Reakcja podnosiła coraz odważniej głowę. Widziała ona, że samolubstwo narodowe głuszyło uczucia słuszności i kuło kajdany na wolność. Grzmot oklasków, którymi niemieccy posłowie na posiedzeniu sejmu wiedeńskiego 29,



Gmach Panoramy.

lipca objawiali swoją radość z powodu zwycięstwa Radeckiego nad wojskiem włoskiem pod Custozzą, świadczył, że niewolnicze uczucia brały już przewagę nad obywatelskiemi. Polacy, prócz kilku serwilistów i ciemnych włościan, nie oklaskiwali tego zwycięstwa, pojmując dobrze, iż wróg wolności stawał się przez to silniejszy.

Ustrój wsi polskiej od XVI. do XVIII. w.

Na dorocznem posiedzeniu Akademji Umiejętności wygłosił profesor Jagiellońskiej Wszechnicy, dr. Bolesław Ulanowski odczyt, który dla historji stanu włościańskiego w Polsce, stanowi ważny przyczynek.

Treść odczytu, pomijając wnioski natury ogólnej, nie dość ściśle dające się — zdaniem naszem — wysnuć z faktycznego materjału, przedstawia się następująco.

Dochowały się liczne księgi gromadzkie, które dostarczają nam wiele cennych i zupełnie wiarogodnych informacji o stosunkach prawnych na wsi i pozwalają nam rok za rokiem śledzić zmiany, które charakteryzują rozwój poddaństwa, począwszy od XVI. wieku. Na podstawie tych źródeł należy w monograficzny sposób opracowywać dzieje pojedyńczych wsi i dopiero z czasem dadzą się złożyć materjały do przedstawienia ogólnej historji stanu włościańskiego w Polsce.

Kasina wielka, położona w powiecie limanowskim, należy do tych wsi, w których się księgi sądowe dochowały i o których dlatego wiemy o wiele więcej, aniżeli o innych. Majętność ta należała pierwotnie do rodziny Niewiarowskich, ale przy końcu XVI. w. przeszła na własność XX. Dominikanów w Krakowie. Na podstawie ksiąg kasińskich można sobie w przybliżeniu stworzyć obraz wsi, zarządzanej przez dwór z sprężystością, ale bez ucisku i krzywdzenia poddanych. Na czele wsi stoi pan, którego władza jest analogiczna do monarszej; poddani winni są wobec pana do posłuszeństwa i uszanowania, składają na rzecz dworu czynsze, ospy i odrabiają pańszczyznę, ale mają prawo do opieki pańskiej i do ulg w ciężarach dworskich w razie klęsk elementarnych. Pan jest we wsi ustawodawcą i sędzią. Ustawy pańskie dotykają najróżnorodniejszych materji prawnych.

Jedne z nich poświęcone są administracji wiejskiej, drugie zawierają przepisy karne i policyjne. W sądownictwie pan bierze udział osobisty; w nieobecności pana zastępuje go jego starosta, czyli faktor. W imieniu pana sądzi wójt z 7 przysiężnikami na sądach zagajonych wielkich i na podsędkach, ale strony mogą się odwołać do dworu i pan zmienia w razie potrzeby niesłuszny wyrok ławicy.

Mieszkańcy wsi, jako całość przeciwstawieni do dworu, stanowią gromadę. Gromada uczestniczy w sądach, zajmuje się sprawami wspólnemi, przedstawia dworowi swoje życzenia, wstawia się za przestępcami, odpowiada za całość czynszów i podatków dworskich, zbiera się nareszcie od czasu do czasu i uchwala na własną rękę ustawy gromadzkie, które zwykle zyskują aprobatę pańską.

Dawniej, t. j. do połowy XVI. wieku, na czele wsi stoi sołtys dziedziczny. Później jednak solectwo Kasińskie zostało skupione, a gromadzie przewodniczą ustanowieni z ramienia dworu wójci. Wójta wybiera wprawdzie gromada, ale wybór ten ulega potwierdzeniu pańskiemu, bez którego wójt czynności urzędowej przedsiębrać nie może. U boku wójta stoją ławnicy, którzy z nim razem tworzą »urząd«.

Kasina podzielona jest prócz tego na dziesiątki, na czele których stoją dziesiętnicy. Mieszkańcy wsi dzielą się na kilka kategorji; na pierwszem miejscu postawić należy kmieci czyli rolników, później idą zarobnicy, siedzący na półrołkach, zagrodnicy, chałupnicy i komornicy.

Sądownictwo wiejskie jest częścią cywilne, częścią kryminalne. Sprawy dzielą się na gruntowe, rugowe i potoczne. Jurysdykcja karna odbywa się na »rugach«, podczas których wybrani z pomiędzy ławników rugownicy donoszą o wszystkich przestępstwach we wsi dokonanych. Najważniejsze sprawy cywilne dotyczą sprzedaży dziedzictwa, testamentów, działów itd. Karne obejmują najrozmaitsze przestępstwa, począwszy od morderstwa i czarów, aż do zwykłych przekroczeń przeciw moralności i publicznemu porządkowi. Kary są bardzo różnorodne: kara śmierci stosowaną jest tylko wobec czarownic; w innych wypadkach doznaje złagodzenia ze strony dworu. Najczęściej stosowane są kary pieniężne i plagi. Pokuty kościelne nakładane bywają na przestępców, jako kary dodatkowe: najtroskliwiej karane są przestępstwa przeciw dworowi, osobom urzędowym, oraz ubliżające zasadom moralności. Utrata dziedzictwa lub wyświecenie ze wsi są stosunkowo najcięższemi karami, jakich poddany kasiński mógł się obawiać.

W całej organizacji Kasiny uderza przedewszystkiem wybitna rola, którą odgrywa gromada. Autonomja wiejska istnieje nietylko w teorji, ale objawia się praktycznie. Obywatele kasińscy biorą czynny udział w sprawach, obchodzących ogół i uważają się za ludzi wolnych, ulegających dworowi tak, jak się ulega władzy monarszej.

Byłoby jednak błędem rezultaty, osiągnięte na podstawie ksiąg kasińskich, przenosić na inne wsie, a tem bardziej na cały stan włościański w Polsce. Jest to dopiero początek badań, który może wskazać nowe drogi, ale dzisiaj zawcześnie orzekać, dokąd drogi te zaprowadzą.

JERZY GROT.

DZIEŃ POWSZEDNI.

(Dokończenie).

Widzę ją trochę z ukosa przez drzwi pochyloną w jasnym kręgu światła. Dziwna rzecz, jak ta kobieta nie wygląda na swoje 28 lat — zwłaszcza w tej halce, która robi wrażenie panieńskiej sukienki... Jadzia podnosi oczy i spotyka się z mojemi; oczy ma smutne i twarzyczkę jeszcze bladą. Pochylamy się każde nad swoją książką. A kiedy znowu posyłam ukradkowe spojrzenie w jej stronę, Jadzi już niema przy lampie. Pewnie siedzi w fotelu przy Maryjce.

Nie jestem dziś w usposobieniu do czytania. Zapalam papierosa i chodzę po pokoju tak, że z przeciwległego kąta znowu widzę Jadzię na ukos. Siedzi w półcieniu — tylko oczy utkwione w lampie błyszczą zadumą.

Przecież niby już było między nami dobrze? Ręczę, że jeszcze się truje czemś, mimo że ją serdecznie przeprosiłem. Ona bo. zawsze bierze rzeczy z tonu zbyt dramatycznego i zapuszcza się w ponure refleksje. Nie bardzo jestem rad temu w chwili obecnej; wołałbym tak sobie z nią porozmawiać.

— Jadzik — chodź do mnie!

Przychodzi, ale staje przy drzwiach.

— Chodź-że bliżej... Gniewasz się jeszcze?

Jadzia kiwa głową po dziecinnemu, usta i ręce ma jak z lodu.

— Zdaje się, że któreś nie śpi? — mówi Jadzia, odwracając głowę.

— Nie wykręcaj się, Jadzik, bo wiesz, że śpią.

Nie odpowiada nic, tylko ręka jej zaczyna trochę drżeć w mojej i głowa się pochyla.

— Nie pocałujesz mnie?

Całuje w czoło chłodnemi ustami. Gdyby chociaż wyraźniej mówiła, co jej dolega — możebym umiał ją lepiej pocieszyć.

— Opowiadaj, Jadziu, jeszcze, coś dziś robiła?

Jadzia opowiada bez przekonania, że się umówiła z Zosią pójść po okrycie, ale ponieważ

ja wyszedłem, więc Zosia została przy Maryjce, a ona chodziła sama.

— Włóż okrycie — zobaczę, czy ci do twarzy.

Jadzia wdziewa żakiet: jest jej ładnie, ale ładniej w kokieteryjnym białym kaftaniku. Zwłaszcza prześlicznie wygląda z profilu w ramie białej kryzy, z której wynurza się jej cudownie zarysowany karczek, zakończony węzłem płowych włosów.

— A ciepło ci w tem?

— Ciepło... ale nie mówiłam ci, ile kosztuje.

— No, ile?

— Zgadnij.

Śmieszne to kobiece »zgadnij«.

— Bo ja wiem — no, 15 rubli.

— Dziewięć! — mniej, niż moja miesięczna pensja.

»Mniej, niż moja pensja« brzmi mi w uszach bardzo przykro — mimowoli całuję ją w ręce. Rozmawiamy chwilkę o zmianie mieszkania, potem Jadzia skierowuje rozmowę na swoją lekcję i rozpytuje się o różne kwestje pedagogiczne.

Koło 10-ej przypomina sobie, że ma jeszcze napisać list do siostry. Nie chce mi się jej puszczać.

— Cóż ty dziś tak ładnie wyglądasz — taka jakaś zaklęta królewna?

Jadzia blado się uśmiecha i odwraca głowę do dziecinnego pokoju. Jak ja lubię ten jej karczek niezmiernie kobiecy — tę łagodną, białą linję, gubiącą się u góry w pysznym splocie włosów. Prawie bezwiednie całuję ją, w chwili, kiedy się odwróciła. Jadzia drga nieznacznie i wychodzi z pokoju.

Nie cierpię, kiedy pisze list. Zwłaszcza dziś mogła tego nie robić — zdaje mi się, że ta rozmowa z osobą nieobecną robi ją dla mnie na razie obojętną, nieczułą. Nikt bo nie umie tak cierpnąć i wchodzić w siebie, jak ona. Wiem, że jeszcze ma łzy w duszy — nawet nie te łatwe łzy kobiece, ale ból nieokreślony, bezprzedmiotowy, rodzący się w niej z nieskończonego szeregu drobnych, codziennych nędz, jak we mnie poranne katzenjamery. Śliczny mój Jadzik!...

Nagle Jadzia wstaje i spuszcza przy drzwiach portjerę.

— Kładź się, Józiu — jesteś zmęczony.

— Wcale mi się spać nie chce... A ty się prędko położysz?

— Jak list skończę.

— Taak?

— Dobranoc ci.

Milcząc, całuję ją w rękę.

— Dobranoc...

* * *

Światło nocnej lampki przesiewa przez drobne pory tkaniny i razi mię nieznośnie. Nie mogę jakoś złapać snu. Źle mi leżeć i palę już drugiego papierosa. Próżno się odwracam — po chwili znowu podnoszę głowę: jeszcze się świeci... Co ona tam robi? Oj, ten jej niepotrzebny tragizm! Wzdycham mimowoli, a może świadomie, za głośno i znowu podnoszę głowę: świeci się! Jednocześnie czuję nieokreśloną nadzieję i niecierpliwość. Co ona tam robi? Jeszcze się nie położyła, bo przed chwilą widziałem na cieniu kryzę kaftanika. Raptem światło gaśnie, a ja machinalnie opieram się na łokciu i wytężam słuch. Cisza... Chcę szepnąć »Jadzik«, ale coś mi nie pozwala.

A jednak jej ramiona szukają mnie w ciemności i gorąca, mokra od łez twarzyczka tuli się do mojej bez słowa... Samo tylko strwożone serce skarży się głośno, prawie z jękiem kołacząc w wezbranej piersi.

— Jadzik mój, Jadzik...

* * *

Która godzina?... Późno już, bo nie mogę prawie podnieść ociężałych powiek. Przez rzęsy widzę znowu świetlną plamę na portjerze i czuję rano, że mi zimno. Przykro mi czegoś... Ale już nie wiem, że to dlatego, że Jadzia boso i w koszuli ziębnie przy Maryjce; nieprzytomnie zabieram sobie całą kołdrę i pogrążam się w ołowiany sen...

Rozbiory i sprawozdania.

Unia podlasko-chełmska od roku 1875—1885 przez ks. Adama Słotwińskiego, pijara. — Czaca. 1894.

Ks. Słotwiński oddawna jest znany, jako gorący pracownik na niwie patrjotycznej od samego powstania 1863 r. i nieraz odzywał się drukiem, zachęcając do pracy i do wytrwania, kiedy większa część naszego duchowieństwa, nawet ci, którzy zdawali się w swoim czasie daleko żarliwsi od czcigodnego b. Rektora Pijarów, dawno przeszli do rezerwy, a nawet do przeciwników zasad, niegdyś przez siebie bronionych. Autor nie ma pretensji do literackiej wykwintności, ale co jest daleko w teraźniejszych czasach pożyteczniejszem, doskonale umie wypowiadać wszystkim należyte »verba veritatis«, czem się szczególniej odznaczył w niedawno wydanych przez siebie »Wspomnieniach z niedalekiej przeszłości«, obejmujących jego działalność w organizacji przedpowstańczej, w samem powstaniu i na emigracji. Do bardzo ciekawych i pouczających faktów, poprzednio zgromadzonych przez ks. Słotwińskiego, przybywa teraz cały opis usiłowań kilku pełnych poświęcenia osobistości w sprawie popierania nieszczęśliwych podlaskich i chełmskich unitów, i rozbicia się ich pracy o obojętność, gorzej, o złą wolę wyższej duchownej hierarchji, i tych, którym ona rzekomo powierzyła obronę prześladowanych naszych braci, mianowicie Towarzystwa Jezusowego. Mamy tu krótką biografję jednego z tych mało znanych bojowników i męczenników sprawy ojczystej, Jana Frankowskiego, starszego

z trzech braci, Jana, Stanisława i Leona, którzy bodaj czy nie położyli największych zasług w organizacji powstania. Leon zginął na moskiewskiej szubienicy, Stanisław dogorywa w opuszczeniu, niewidomy i głuchy, a Jan, wierny »usque ad finem«, znikł nareszcie bez śladu na dalekiej północy, pracując dla nieszczęśliwego ludu swojego rodzimego Podlasia. Mamy opis starań samego ks. Słotwińskiego, Jana Frankowskiego, Czesława Dembowskiego (umarł w 1887 r. w warszawskiej cytadeli) i innych gorliwych rodaków w Kongresówce, w Krakowie, w Rzymie w sprawie unitów od 1875 do 1885 r., i hamowania tej samej sprawy przez rozmaitych kardynałów, np. Czackiego, biskupów i innych wysokich prałatów; znajdujemy np. taki ciekawy szczegół, że krakowscy Jezuici chcieli skorzystać z unickiej deputacji do Rzymu dla planów wojskowych, szpiegowania fortec moskiewskich itp. — co się oczywiście skończyło w Watykanie najzupełniejszem fiasko; ale o pomaganiu chłopom ci sami Jezuici ani słyszeć nie chcieli.

Do tego dołączył autor bogaty zbiór dokumentów, memorjałów i odezw, rzucających jaskrawe światło na cały przebieg sprawy. Głęboko rozczulające są żale biednych włościan Rusinów, zupełnie opuszczonych nawet przez własnych braci z tej strony kordonu, którzy się tem chyba odznaczyli, że posłali na pomoc Moskalom całą czeredę galicyjskich popów »obrusitielej« — spis ich może czytelnik znaleźć w książce ks. Słotwińskiego, z tą pouczającą notatką, że ich samych rząd moskiewski teraz prześladuje, sprowadziwszy do roboty własnych kacapów. Przypomina nam to rozczarowanie innego renegata, osławionego Naumowicza, który umarł niedawno w nędzy i zniechęceniu, ale doczeka się podobno z carskiej łaski pysznego nagrobka w Kijowie. Frankowski leży w nieznanym grobie aż za północnym Nowogrodem, ale wystawił sobie w sercach rodaków pomnik stokroć trwalszy i wspanialszy od tych, którymi wyuzdana przemoc chce uczcić usługi swoich siepaczy.

Autor umieścił nareszcie na końcu książki spis ofiar rządu moskiewskiego z r. 1863, pochodzący także prawdopodobnie z papierów niezmordowanego emisarjusza Jana Frankowskiego i obejmujący 508 nazwisk, głównie mieszczan i chłopów, powieszonych i rozstrzelanych przez wrogów za wierność Ojczyźnie. Spis ten, wzięty oczywiście z moskiewskich aktów śledczych, jest ma się rozumieć bardzo niedokładny i razi nieprzyjemnie tem, że ks. Słotwiński zapomniał uprzedzić czytelnika o jego moskiewskiem pochodzeniu i zachował nietkniętą całą rządową frazeologję; czytamy więc w każdym wierszu o »żandarmach wieszających«, o powieszonych »za morderstwo, grabież i okrucieństwa«, co nieuprzedzonego czytelnika często oburzyć może. Ta mała opieszałość nie zmniejsza wartości całego dzieła, które mocno polecamy naszym czytelnikom, spodziewając się zarazem, że czcigodny autor wkrótce uraczy nas nowymi wyciągami ze swojego bogatego zapasu pamiętników i materjałów. Szczęść Boże poczciwej pracy!

B. S.

Przegląd pism.

»Żytie i Słowo«. Dwumiesięcznik, poświęcony literaturze, historji i folklorystyce. — Zeszyt III. — Lwów — 1894, str. 160, w. 8-ki.

Najciekawszą pracą w ostatnim zeszycie tomu I. »Życia i Słowa« jest artykuł dra I. Franki: »Szewczenko jako bohater polskiej legendy rewolucyjnej«. Dotąd wszystkie biografje i charakterystyki kobzarza ukraińskiego opierały się głównie na wiadomościach, dostarczanych przez ludzi przychylnie względem niego usposobionych. Dr. Franko pierwszy zwrócił uwagę na liczne korespondencje, przesyłane przez szlachtę polską w połowie bieżącego wieku do pism polskich tak w kraju, jak i za granicą wychodzących, a względem narodowego ruchu ukraińskiego wrogo usposobionych. Praca dra Franki jest właśnie poświęcona legendzie, która w pismach polskich została przywiązana do imienia Szewczenki.

Jestto opowiadanie o tem, jak Szewczenko przy pomocy ziarn propagował przewrót społeczny pomiędzy chłopami. Dr. Franko udowadnia, że legenda ta jest pochodzenia polskiego i na podstawie całego szeregu faktów historycznych dochodzi do wniosku, że powstała ona w r. 1846, kiedy rewolucjoniści polscy zwrócili się ze swą propagandą do ludu ruskiego w Galicji. W pracy dra Franki znajdujemy bardzo dużo ciekawych szczegółów, rzucających światło na stosunki polsko-ruskie w r. 1846 w ogóle, a na działalność Kacpra Ciąglewicza w szczególności.

Bardzo ciekawy jest również cykl pieśni ludowych o Ludwiku Koszucie, zebranych i objaśnionych przez dra Frankę. Dyktator węgierski jest powszechnie znany ludowi ruskiemu w Galicji, ale ani on, ani jego działalność nie znajduje sympatji i wszystkie pieśni najbardziej zajmują się faktem zwycięstwa Rosjan nad powstańcami węgierskimi. Lud ruski wie o udziale Polaków w powstaniu węgierskiem i uważa go za przyczynę tej reakcji w polityce austrjackiej, która zapanowała po 1849 r.

P. M. Zubrycki podaje kilka wspomnień o konfederatach, według opowiadań włościan ruskich.

P. A. Krymski w pracy o Muzeum Rumiancowskiem podaje spis materjałów, dotyczących historji i literatury południowo-ruskiej, zgromadzonych w bogatej książnicy moskiewskiej.

Ciąg dalszy materjałów do historji »wirszy« ukraińskich, opracowanych przez M. Dragomanowa, zawiera dwa wirsze o Zmartwychwstaniu pańskiem. Wirsze te odznaczają się humorystycznem traktowaniem nawet rzeczy świętych, tudzież żywem zainteresowaniem się sprawami społecznemi i politycznemi.

W dziale literatury pięknej, znajdujemy ciąg dalszy powieści I. Franki, osnutej na tle głośnej sprawy kukizowskiej: »Filary społeczeństwa«; koniec poematu O. Makoweja: »Nowicjusz«; ciąg dalszy »Pieśni o Rolandzie«; początek przekładu »Króla Edypa« Sofoklesa i wyjątki z »Giulistanu« Saadego.

L. Wasilewski.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.